

Spotkanie

Melchior siedział na ławce i posepnie spoglądał na coraz bardziej rześisty deszcz, jednakże nie mógł zdecydować się na powrót do domu. Jego żona zapewne umyślnie zapomniała kazać napalić w jego pracowni, aby w ten sposób zmusić go do wzięcia udziału w swej cotygodniowej herbatce. Toteż wołał raczej marznąć na świeżym powietrzu i moknąć w deszczu.

Odgłos kroków na żwirze wyrwał go gwałtownie z apatii. Drgnął i spojrzał nieprzytomnie przed siebie: jakiś chłopiec w płaszczu z postawionym kołnierzem i w skórzanym hełmie szedł wolnym krokiem przez aleję miejscowego parku obrosniętą pozbawionymi liści drzewami. Kiedy chłopak zbliżył się do niego, Melchior dostrzegł jego wąską, opaloną twarz, z której – zarazem zuchwale i nieśmiało – spoglądały prosto i nieubłagane szare, jakby nieruchome oczy.

Przechodząc obok ławki, zwrócił się ku Melchiorowi, spojrzał nań ostro – i nagle uśmiechnął się. Przezornie trzymał się krańca ścieżki, tak że krzaki, które biegły szpalerem wzdłuż obu

szeregów bezlistnych drzew, zasłaniały go przed wzrokiem innych przechodniów.

Melchior wydał cichy okrzyk i zaczął drzeć na całym ciele. Wtedy na drugim końcu alei pojawił się wysoki mężczyzna, zatrzymał się i niespokojnie rozejrzał na wszystkie strony; po krótkiej chwili zrobił kilka dużych, szybkich kroków, znowu stanął, i raz jeszcze rozejrzał się dokoła.

Zanim ów mężczyzna mógł go zauważyć chłopca, ten, kryjąc się za drzewami, podbiegł szybko do Melchiora, usiadł tuż koło niego na ławce i wyszeptał błagalnie:

– Chwyć moją lewą dłoń. A potem szybko naciągnij rękawiczkę. Nie dziw się niczemu i nie mów o mnie nikomu. Prędko, prędko.

Głos chłopca brzmiał tak nagląco, oczy płonęły gorączkowo, a pięknie zarysowane usta tak drżały, że Melchior mimo woli ujął podaną mu dłoń.

W tej samej chwili chłopiec zniknął, jakby rozplynał się w powietrzu. A na wskazującym palcu Melchiora niespodziewanie pojawił się szeroki, srebrny pierścień.

Zanim jeszcze mógł zdać sobie sprawę z tego, co się stało, pod wrażeniem prośby chłopca mechanicznie wyciągnął z kieszeni płaszcz rękawiczkę i nałożył ją na rękę. Dopiero wtedy uzmysłowił sobie zdumiewający charakter całego zdarzenia. Jednocześnie ogarnęło go uczucie ogromnej radości. Nie miał jednak pojęcia, z czego właściwie się cieszy.

Dodatkowym zdziwieniem napawał go fakt, że ani przez chwilę nie stracił poczucia pewności siebie. Ale jedno wiedział na pewno: stało się wreszcie coś, na co od dawna czekał. Poczuł się wolny od wszelkich trosk. Wyprostował się i podniósł głowę. Z napięciem i niemal wrogo spojrzął w stronę mężczyzny, przed którym uciekał chłopiec.

Kiedy obcy zobaczył Melchiora, zatrzymał się, zastanowił przez chwilę, jakby nie mógł się zdecydować, po czym ociągając się zrobił kilka kroków w jego stronę.

Był to wysoki i szczupły mężczyzna. Jego ogolona twarz o ostrych rysach i przywędłej cerze była zakończona szpiczastym, energicznym podbródkiem. Miał cienkie i szerokie usta, wąski i zakrzywiony nos, zapadnięte wargi, a oczy jakby wyrzeźbione z jasnych i przezroczystych kamieni. Kiedy kłaniając się podniósł kapelusze, Melchior ujrzał potężne białe czoło i jasne, falujące włosy.

– Przepraszam pana – odezwał się obcy – czy przypadkiem nie widział pan przechodzącego tędy chłopca?

– Nie przyglądałem się przechodzącym chłopcom – odparł Melchior niechętnie.

– No, tak... – powiedział obcy. – Pozwoli pan? – zapytał i usiadł obok Melchiora na ławce. – Jestem trochę zmęczony, bo biegam przez cały dzień szukając mojego wychowanka. Zawieruszył mi się dziś rano w ulicznym tłumie.

– Jak wygląda pański wychowanek? – zapytał Melchior i mimo woli uśmiechnął się.

Obcy spojrział nań podejrzliwie i szybko zapytał:

– A więc widział go pan? Czy rozmawiał z panem? Czy...

– Nikogo nie widziałem – przerwał mu Melchior. – Powiedziałem już panu.

– Z pańskiego pytania wywnioskowałem, że pan go widział – powiedział obcy. – Niekiedy siedzimy sobie, ot tak, niby na nic nie zwracamy uwagi, a jednak zauważamy to i owo... A więc nie widział go pan... Szkoda... Niech mi pan wybaczy natarczywość, ale jestem bardzo niespokojny...

Melchior przyjrzał się baczniej siedzącemu mężczyźnie. Zewnętrznie nieruchoma twarz obcego z sekundy na sekundę zmieniała swój wyraz. W jednym momencie wyglądał na człowieka

bezsilnego i słabego, a jego oczy patrzyły ślepo przed siebie, w następnym – na jego wargach pojawiał się prawie niezauważalny, dziecięcy uśmiech. Po chwili znowu jego rysy wypełniała surowa i groźna powaga, a z przenikliwie patrzących oczu bił zimny blask.

Obcy podniósł się.

– Niech mi pan wybaczy raz jeszcze – odezwał się – ale chciałem pana o coś prosić. Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonany, że pan, właśnie pan, musiał spotkać mojego chłopca. Wiem, że jeszcze będzie z panem rozmawiał. Proszę nie wierzyć w to, co panu powie. To nieprawda. Niech pan nie dotyka jego ręki, jeśli ją poda, bo mogłoby to ściągnąć na pana nieszczęście. Ostrzegam. A kiedy go pan zobaczy, to, bardzo proszę, niech pan będzie tak dobry i da mi znać. I niech mi pan nie odmawia.

Melchior nie odezwał się ani słowem.

– Nazywam się Ulrich von Spät – ciągnął dalej obcy. – Mieszkam w Grand-Hotelu, gdzie zatrzymałem się w podróży. Zapewne uważa mnie pan za obłąkanego, a przynajmniej za dziwaka. Ale nie mogę panu wyjaśnić swego zachowania. Mimo to proszę mi zaufać. Chciałbym niemal domagać się zaufania, chociaż pana nie znam. Jest w panu coś, co zdaje się usprawiedliwiać sposób, w jaki do pana mówię. Niech pan nie uważa mnie za kogoś obcego, lecz za człowieka, za przyjaciela, tak jak powinniśmy to robić zawsze, kiedy sądzymy, że wśród tysiąca nieważnych istot rozpoznajemy człowieka... I jeszcze jedno, zapomniałem powiedzieć, jak wygląda mój chłopiec: ma bardzo szczupłą, opaloną twarz, szare nieruchome oczy i długie, czarne włosy; nosi płaszcz z podniesionym kołnierzem i skórzany hełm... Na pewno go pan rozpozna: każdemu rzuca się w oczy...

Melchior spuścił głowę w zamyśleniu, nie powiedział jednak ani słowa. Von Spät odczekał jeszcze parę chwil, westchnął i spojrzał Melchiorowi prosto w twarz. Jego oczy zdawały się być ciemniejsze i bardziej promienne. Wyciągnął do Melchiora rękę i rzekł:

– A więc, mam nadzieję, do zobaczenia.

Melchior poczuł żar w całym ciele. W tym momencie ogarnęło go żywe poczucie głębokiego wewnętrznego pokrewieństwa z obcym: zapomniał o wszystkim, zapomniał o pierścieniu, który otrzymał, ściągnął rękawiczkę i serdecznie uściskał dłoń pana von Späta.

Wzrok starszego mężczyzny padł na pierścień Melchiora. W jego oczach pojawił się przelotny błysk, stłumił jednak swe wzburzenie i oddalił się spokojnym krokiem.

Melchior długo spoglądał za nim. Nagle przeniknął go dreszcz: zauważył pierścień na swoim palcu, przypomniał sobie tajemniczego chłopca i poczuł, że go zdradził. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że obcy nie zobaczył jego pierścienia ani też nie zwrócił nań uwagi, toteż uspokoił się, ale nie mógł darować sobie swej nieostrożności.

– Cóż to wszystko znaczy? – myślał. – Tracę panowanie nad sobą... To był chyba sen. Kim był ten obcy? Jaką władzę ma nade mną, że nagle go pokochałem, zapominając, że to mój wróg?

ROZDZIAŁ 3.

Fo

Wracając do domu, Melchior czuł w sobie jakąś dziwną lekkość. Ulice, mury, domy stały się jakby obce. Można było sądzić, że unoszą się w powietrzu, i wydawało mu się, że one same mają konsystencję zgęszczonego powietrza. Toteż nie zdziwiło go to, że przechodził przez nie bez trudu. Rozstępowały się przed nim jak zasłony i zamykały za nim niby pasma mgły. Zakątki, znane mu z codziennych spacerów, ukazywały teraz tajemnicze budowle z dalekiej barwnej ojczyzny. Wszystko było przemienione. Miasto, przez które szedł, nie było już takie samo. Było to nowe miasto zmieniających się wizji.

Zdawało się, że i ludzie ulegli jakiejś przemianie. Chwilami chwycił ich przelotne spojrzenia i miał wrażenie, że w ich oczach, jak w zwierciadle, widzi własne oczy. Czuł, że swymi uśmiechami i skinieniami pozdrawiają go i dają mu znaki cichego porozumienia.

Na placu przed dworcem, pod ogromnym parasolem siedziała stara przekupka handlująca jabłkami. Melchior podszedł do niej, kupił parę jabłek, wsadził je do kieszeni i – ku jej wielkiemu zdumieniu – pogłaskał pomarszczone policzki kobiety.

– Tak, tak – powiedział promieniejąc ze szczęścia – znamy się przecież, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Widzi pani ten pierścień na moim ręku? Tego pani jeszcze nie widziała, co? Nikomu poza panią nie wolno go zobaczyć. Ten pierścień oznacza, że udaję się teraz w daleką drogę, bardzo daleką. Wie pani przecież, jak to jest, kiedy chcemy wyruszyć w daleką podróż, nagle nadchodzi nasz czas i wreszcie wyruszamy.

Kobieta zdawała się nic nie rozumieć i tylko patrzyła nań z przerażeniem.

– Wiem – ciągnął dalej – że nie muszę pani tego wszystkiego mówić. Znamy się przecież dobrze, znamy się tak długo, już od czasów mojego dzieciństwa...

Przekupka była przerażona coraz bardziej. Bezradnie rozglądała się dokoła. W końcu opanowała się i przerwała Melchiorowi:

– Jak panu nie wstyd żartować sobie ze starej kobiety?

– Nie zna mnie pani? – odparł Melchior. – Dlaczego nagle nie chce mnie pani znać? Zawsze siedziała pani w jakimś kącie, kiedy przechodziłem koło pani. Zawsze spotykałem panią, gdzie tylko przyjeżdżałem. Nie pamięta pani, jak siedziała w Genui, na placu przed dworcem, z kolorową papugą na ramieniu, a ja zaraz po przyjeździe kupiłem od pani pomarańcze? A w Wiedniu? W Petersburgu? W Sztokholmie? W stu innych miastach? Zawsze była pani na swoim miejscu i witała mnie swymi owocami, kiedy gdzieś przyjeżdżałem, i patrzyła za mną, kiedy wyjeżdżałem.

– Myli się pan, drogi panie – powiedziała przekupka nieufnie. – Nigdy stąd nie wyjeżdżałam.

Melchior spojrział jej prosto w oczy, potrząsnął głową i w końcu powiedział ściszym głosem:

– Rozumiem. Jest pani przezorna. Nie chce pani, żeby ktoś panią podsłuchał. Obcy jest tutaj, nasz wróg. Popelnilem nie-

ostrożność zwracając się do pani. Być może już nas zauważono. Ale tak bardzo ucieszyłem się na pani widok. Teraz rozumiem mój błąd – i odchodzę.

W tej samej chwili zobaczył jakiegoś chłopca przechodzącego obok straganu przekupki. Chłopiec spojrział nań bystro, ostrzegawczo położył palec na ustach i szybko skręcił za róg. Melchior dotknął spiesznie swego pierścienia. Ciągłe jeszcze miał go na palcu. Nie mógł to być ten sam chłopiec. Twarz tego była szersza, bardziej opalona, o śmielszym wyrazie. Tylko szare, nieruchome oczy przypominały tamtego.

Melchior na pożegnanie skinął przekupce głową i oddalił się wielkimi krokami.

„Kim był ten chłopiec? – myślał. – Ubrany był tak samo jak tamten. W jakim kręgu się znalazłem? Co otacza mnie i pęta? Wszystko to widziałem kiedyś we śnie. Tyle znajomych twarzy na ulicy, te znaki, skinienia, pozdrowienia, obaj chłopcy, von Spät... Nie mogę sobie przypomnieć... I ta przekupka... Czemu jej to wszystko powiedziałem? To czyste szaleństwo... Skąd by miała mnie znać? Przed każdym dworcem siedzą stare przekupki... A jednak – to była ta sama twarz, te same włosy, zmarszczki, głos...”.

Zbliżywszy się do swego domu, Melchior zauważył w ciemności cały tłum chłopców, którzy na jego widok rozbiegli się i kryjąc się za węglem domu, wyzierali spoza niego ciekawie...

„Już w głowie mi się od tego kręci – pomyślał. – To już całe gromady...”.

Okna jego mieszkania, znajdującego się na parterze, były jasno oświetlone. Dobiały z nich odgłosy śmiechu, ożywionych rozmów, muzyki. Na tle zasuniętych białych zasłon od czasu do czasu przesuwiał się jakiś cień. Przez chwilę Melchiorowi wydało się, że ze stłumionego gwaru wyłowił czysty, jasny głos pana von

Späta. Potem jednak uzmysłowił sobie, że nie przedstawił mu się przecież ani nie podał swego adresu, musiał więc ulec złudzeniu swych podrażnionych zmysłów.

Aby go nie dostrzeżono, wszedł do mieszkania tylnymi drzwiami i od razu udał się do swej pracowni. Było tam ciemno i zimno. Przekreślił kontakt i oślepiająca jasność zalała pokój. Nie zdejmując mokrego płaszcza położył się na dywanie i zamknął oczy. Jego lewa ręka zwisła bezsilnie poza brzeg dywanu i wtedy pierścień, luźno osadzony na palcu, ześlizgnął się na podłogę. Melchior drgnął i otworzył oczy...

Obok dywanu stał tajemniczy chłopiec z parku i przyglądał mu się z uśmiechem.

– Marzniesz – powiedział chłopiec. – Rozpalę ogień.

Ukląkł przy piecu, ułożył na nim drewno i chuchnął w jego stronę. Buchnął płomień, zatrzeszczały płonące szczapy.

Chłopiec zrzucił z siebie płaszczy, zdjął skórzany hełm i w obcym stroju stanął przed Melchiorem.

– Wiedziałem, że cię odnajdę, Melchiorze – powiedział. – Po twoich oczach poznałem, że mi pomożesz. Należysz do nas, jeśli nawet nic o nas nie wiesz. Dziękuję ci. My wszyscy ci dziękujemy.

– Kim jesteś? Kim wy jesteście? – zapytał Melchior. – Nie rozumiem tego, co się ze mną dzieje. Kim jest obcy? Skąd znasz moje imię?

– Od dawna wiem o tobie. Nazywają mnie Fo, ale mojego prawdziwego imienia nie mogę ci zdradzić. Nikt z nas nie może. Dlatego nadajemy sobie obojętne imiona. Kim jesteśmy? Tego się dowiesz, kiedy będziesz już wśród nas. Wystarczy, jeśli zawołasz: „Chcę stąd odejść!”, a wtedy przybędziemy i zabierzemy cię ze sobą. Ale strzeż się obcego. To nasz największy wróg. Widział pierścień na twoim palcu i będzie cię prześladował. Posiada on

pewną tajemnicę, która czyni go potężnym. Byłem już w jego mocy i uwolniłem się z niej tylko dzięki podstępom. Jak to zrobiłem, opowiem ci, kiedy będziesz już wśród nas. Póki żyjesz jeszcze wśród innych, nie mogę ci nic powiedzieć. A teraz – raz jeszcze – dzięki ci. Pozwól, że odejdę. Moi towarzysze czekają na mnie.

Melchior usłyszał szelest za oknem. Twarze przyciśnięte do szyby spoglądały z ciemności do jasnego pokoju.

– Nie puszczę cię – zawołał Melchior – dopóki mi nie powiesz wszystkiego. Jaką mam pewność, że przyjdiesz do mnie, kiedy cię zawołam? Jakże pójdę za wami, jeśli mi nie powiedzialesz, kim jesteście? Jak mam oprzeć się obcemu, skoro nie znam jego tajemnicy?

– Trzeba żyć naszym życiem, by wiedzieć, kim jesteśmy. Tego nie da się powiedzieć. Pójdiesz za nami, kiedy każe ci pójść twoje serce. Jeśli nas zawołasz, zawsze przybędziemy na twoje wołanie. Sami nie znamy tajemnicy obcego; gdybyśmy ją znali, nie mógłby nam szkodzić. Odpowiedziałem ci na twoje pytania. Pozwól mi teraz odejść.

– Chcesz mnie opuścić – odparł Melchior – ale ja na to nie pozwolę. Oto biorę cię z powrotem za rękę i przemieniam w pierścień.

– Pierścień na nic ci się nie przyda, Melchiorze – zaśmiał się chłopiec. – Zmienia on twoje życie w tajemnicę i zamęt. Wszystko zmienia się w twoich oczach... Ale nie ruszasz się z miejsca. Miasto zawsze będzie dla ciebie takie, jak dziś, kiedy wracałeś do domu. Nie rozwiążesz żadnej zagadki, przyjaciół będziesz brał za wrogów, a wrogów – za przyjaciół. Nie umiesz bowiem tłumaczyć sobie znaków, które są ci dawane. Chodź z nami – a znajdziesz wolność. Zawołaj nas, kiedy do nas zatęsknisz. A na razie – pozwól mi odejść. Otwórz okno.

Melchior przez chwilę jeszcze się wahał. A potem wstał w milczeniu, spojrział przeciągle na Fo i otworzył mu okno. Jednym skokiem chłopiec znalazł się na zewnątrz. Tam otoczył go tłum jego towarzyszy. Chłopcy chwycili się za ręce, tworząc krąg. Z jego środka buchnął w górę płomień, posypały się iskry i nagle wszystko zniknęło.

ROZDZIAŁ 4.

Rozpętani

Rozległo się pukanie do drzwi. Melchior nie poruszył się. Jego żona, Zofia, otworzyła ostrożnie drzwi i zajrzała do pokoju. Nieduża i krucha, o czarnych, gładko uczesanych i rozdzielonych pośrodku głowy włosach, stała w drzwiach i spoglądała swymi niebieskozielonymi oczami na Melchiora. Jej pełne, nieco bezkształtne usta drżały ledwo zauważalnie.

– Wydawało mi się, że już wróciłeś – odezwała się – ale dlaczego siedzisz tu sam w zimnym pokoju? Chodź do nas. Jest dziś bardzo interesujący wieczór.

– Wiesz przecież, że nic mnie nie łączy z tymi ludźmi – odparł Melchior. – Dlaczego nie kazałaś napalić w piecu?

– Wybacz, ale zapomniałam – odpowiedziała Zofia chłodno.

– Zawsze o tym zapominasz, kiedy masz u siebie gości.

Wyprostowała się i spojrzała na niego energicznie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała.

– To, że za wszelką cenę chcesz mnie związać z ludźmi, którzy mi tylko przeszkadzają. Nie mam dla nich czasu. – Melchior podniósł się i zaczął chodzić nerwowo po pokoju.

– To znaczy, że i dla mnie nie masz czasu – powiedziała Zofia – bo z nimi mogę rozmawiać jak z ludźmi, a ciebie to nudzi.

Melchior zatrzymał się i odparł stanowczo:

– Tak, nudzi. Nudzi mnie ta ciągła gadanina o rzeczach aż nadto dobrze znanych, to przeżuwanie banałów... Mam dość tego wiecznego przeskakiwania z tematu na temat. Że też wam się to nie znudzi...

Twarz kobiety zadrżała, a w oczach pojawiła się złość. Opanowała się jednak i powiedziała spokojnie:

– Czuję się dobrze i pewnie tylko wśród rzeczy, które znam. Ale ty nie możesz znieść, kiedy czuję się bezpieczna. Chciałbyś pozbawić mnie pewności siebie. Każdego, z kim tylko się stykasz, wprawiasz w niepokój. Czujesz się źle, jeśli ktoś wie, czego chce. Zawsze starasz się usunąć mu grunt spod nóg. Także oni, odkąd cię poznali, zgłupieli całkowicie. O niczym nie można porozmawiać z nimi poważnie. Od razu zaczynają szaleć i błaznować. Najrozumniejsi ludzie zaczynają mówić głupstwa.

– Nie chcesz mnie zrozumieć – przerwał jej Melchior. – Jesteś przecież taka pewna siebie. Ja mogę ci tylko powiedzieć, że twoja pewność jest oszustwem, tak jak dawna pewność twoich przyjaciół była złudzeniem. Najmniejszy drobiazg może ich wyprowadzić z równowagi i zburzyć ich poczucie bezpieczeństwa. O pewności może mówić tylko ten, kto stał się bezradny, kto stracił wszelką orientację, kto przestał rozumieć siebie samego. Nie ufam żadnej trwałości, żadnej pewności, żadnym określonym formom...

Zofia zrobiła niecierpliwy gest.

– Nie powinniśmy pozwolić gościom czekać na nas – powiedziała. – Chodźże ze mną. Wszystko wywróciło się dziś do góry nogami. Jest tam ktoś, kto przeraża ich jeszcze bardziej od ciebie. Mówi o tak dziwnych rzeczach, że może się zdawać, iż potrafi rozkazywać nawet duchom.

Melchior uśmiechnął się.

– Duchom? – zapytał. – Wolisz więc raczej wierzyć w duchy niż w duchowy charakter całego świata? Kim jest ten zaklinacz duchów?

– To mój dawny znajomy – odpowiedziała Zofia z wyraźnym zakłopotaniem – z mojego rodzinnego miasta. Bawiliśmy się razem jako dzieci. Wszyscy musieli go zawsze słuchać i nie mogli bawić się tak, jak chcieli. Był chłopcem szczupłym i słabowitym, ale nikt nie odważył mu się sprzeciwić. Wcześniej opuściłam dom, toteż od tamtych czasów nic o nim nie słyszałam. I zupełnie niespodziewanie, po piętnastu latach, odwiedził mnie właśnie dziś. Więc poprosiłam go, aby został na herbacie.

– Jak on się nazywa?

– Ulrich von Spät.

– Jest tu przejazdem? I mieszka w Grand-Hotelu? – zapytał Melchior żywo.

– Skąd o tym wiesz? Znasz go?

– Poznałem go przypadkiem przed paru godzinami, ale nie przedstawiałem mu się. A jednak musiał znać moje nazwisko. Przyszedł tu jedynie ze względu na mnie, wykorzystując znajomość z tobą. Teraz wszystko rozumiem.

Podniecenie Melchiora rosło. Oczy błyszczały mu gorączkowo. Zofia przyglądała mu się drwiąco.

– Nagle się ożywiłeś – wycedziła. – Wymyślasz sobie nową przygodę. Widzę więc, że mogę ci się na coś przydać, choćby przez to, że sprowadzam do domu obcych szaleńców.

– Chodź – Melchior przerwał jej szorstko i otworzywszy drzwi, ruszył korytarzem w kierunku salonu.

Zofia powoli ruszyła za nim. Przed wejściem do salonu zatrzymał się. Jego uszu dobiegł grzmiący śmiech i zaraz po nim ostry głos pana von Späta.

– Ależ czcigodni państwo – perorował von Spät – śmiejecie się tylko dlatego, że nie chcecie uwierzyć w to, co mówię. Tu, na waszych oczach, mogę dokonać tego, o czym wam opowiadałem. Nie jest bajką to, co znacie z setek opowieści: rzeczywiście potrafię uwięzić każdego z was w tej oto flaszcze, którą trzymam w ręku.

Wrzaski i śmiech gości wzmogły się. Najdonośniej rozbrzmiewały przypominający przeraźliwe beczenie głos jakiejś kobiety i chrapliwe parskanie jakiegoś basa.

Melchior otworzył drzwi i wraz z żoną wszedł do salonu. Zgromadzeni goście natychmiast otoczyli go, żywo pozdrawiając. Ze zdziwieniem rozglądał się dokoła. Wszystkie twarze, rozpalone do czerwoności, zdradzały podniecenie. Gorączkowym blaskiem płonęły też oczy gości. Ich usta drżały niepohamowanie.

„Czyżby von Spät tak ich przemienił?” – pomyślał Melchior i spojrzął na obcego. Von Spät stał nieopodal oparty o ścianę, jak się zdawało, mało przytomny.

– *Hallo!* – zawołał tłusty krytyk artystyczny z „Gazety Wieczornej”, Heinrich Trümpelsteg, i rubasznie klepnął Melchiora w ramię. – *Hallo, old boy*, jak ci się wie, najczcigodniejszy nauczycielu? A więc raz jeszcze możemy pana oglądać, inspiratorze naszych najzarliwszych snów. Przychodzi pan w samą porę. Pański sławetny przyjaciel chce nam pokazać kilka swoich sztuk.

Profesor Cux, który tymczasem przetaił zapocone złote bino-kle i nasadził je na swój wielogarbny nos, odsunął krytyka na bok i energicznie potrząsnął ręką Melchiora.

– Dzień dobry, drogi młody przyjacielu – wysepleniał. – Czy mogę panu przedstawić moją kochaną żoneczkę? – I wyciągnął spoza swych pleców młodą kobietę o chłodnym wyglądzie i krótkich blond włosach. – Czy nie wygląda wspaniale?

Młoda kobieta zaczerwieniła się i uśmiechnęła wyzywająco.

– Nie musisz się czerwienić, Franciszko – ciągnął dalej profesor – bo widzisz, tu jest taki zwyczaj, że od razu mówimy sobie wszystko, co myślimy. Niech pan tylko patrzy, drogi przyjacielu – zwrócił się do Melchiora, jednocześnie podnosząc spódnicę swej żony powyżej kolan – niech pan tylko popatrzy na te łydki. Wystarczy, że o nich pomyślę, a natychmiast znajduję rozwiązanie moich najbardziej skomplikowanych formuł chemicznych. A ich widok wręcz inspiruje mnie do nowych odkryć – naturalnie, tylko w dziedzinie chemii.

Towarzystwo przyjęło ten dowcip wybuchem rechotliwego śmiechu. Najgłośniej śmiała się sama pani Cux. Dopiero teraz Melchior spostrzegł, że usta miała umalowane na fioletowo, a jej włosy pokrywał zielony puder. Nie chciał wierzyć własnym oczom. Również inne, przyzwoite przecież panie były uszminowane. Na widok łydek Franciszki kilka z nich także podniosło sukienki i pokazując swoje łydki zaczęło przekrzykiwać się nawzajem:

– I ja mam piękne łydki! Ja też mam piękne łydki! Nie, moje są piękniejsze! A nie, bo moje!

– Ależ moje panie – przerwał im Heinrich Trümpelsteg. – Ależ moje panie, posłuchajcie, co wam powiem. Przecież same łydki nic nie znaczą. Ważne jest ciało, do którego należą. Proponuję wam, moje panie, urządzić pokaz piękności. Niech opadną z was wszystkie zasłony. Pozwólcie nam podziwiać wasze piękno w całej okazałości i przez głosowanie zdecydować, która jest najpiękniejsza. Jesteśmy zmartwychwstałymi Grekami. I nie chcemy nic innego, jak tylko piękna, piękna, piękna.

Podniosły się radosne okrzyki. Pokój wypełniła gwałtowna szamotanina gorączkowo rozbierających się kobiet. Części ubrań wzlatywały w powietrze i opadały na podłogę. W ciągu kilku minut wszystkie kobiety były nagie.

Melchior spojrział w kierunku Zofii. Również ona stała naga, kołysała się w biodrach i patrzyła na niego drwiąco.

„Cóż tu się dzieje? – pomyślał Melchior. – Co tym ludziom przychodzi do głowy?”

Pani Cux przebiegała salon tanecznym krokiem, biła się pięściami w swe małe jędrne piersi, co chwila rzucając się komuś na szyję i całując go namiętnie. Był to sygnał do powszechnego rozpasania. Kobiety piszcząc miotały się po całym salonie, rzucały się na podłogę, biły się, drapały i gryzły, wyrwały sobie włosy z głów, całowały się nawzajem, śmiały i kłóciły. A mężczyźni, z pianą na ustach, bili im brawo.

Melchior odwrócił się i podszedł do pana von Späta, który ciągle jeszcze nie zmienił swej nieruchomej postawy. Na widok Melchiora jednak ruszył w jego kierunku i podał mu rękę.

– Spotykamy się więc wcześniej niż myśleliśmy – powiedział i przez sekundę patrzył przenikliwie na Melchiora. – Cóż to za osobliwy przypadek, że akurat pan jest mężem mojej przyjaciółki z czasów młodości.

– Nie wierzę w przypadki – odparł Melchior i odwzajemnił jego spojrzenie. – W ten czy inny sposób my sami jesteśmy ich przyczyną.

Podczas gdy prawie nie myśląc wypowiedział te banały, przyszło mu do głowy, że w tej chwili mają one zupełnie określony i jedynie możliwy sens, z którego zdają sobie sprawę tylko on i von Spät.

– Niech żyje filozofia, Melchiorze! – zawołał Trümpelsteg, który dosłyszał jego ostatnie słowa. – Niech żyje filozofia, szczególnie w obliczu tych nagich... ciał. Moje panie, trudzicie się daremnie. Gdybyście nie wiem jak się wysilały, to i tak filozofia tu zwycięży. Niech żyje duch!

Trümpelsteg powiedział te słowa tak głośno, że wszyscy nagle zamilkli i ze zdumieniem zaczęli mu się przysłuchiwać.

– Przypadek, przypadek – ciągnął dalej. – Naturalnie, dla takiego maga jak pan nie ma przypadku. Sam pan aranżuje przypadki, a towarzyszy panu przy tym cała orkiestra duchów pod batutą pana von Späta. Cha, cha, cha, cha!

Zwijając się ze śmiechu, machał w powietrzu długimi jak u mały rękami, które dziwnie kontrastowały z jego otyłością i niskim wzrostem.

Całe towarzystwo skupiło się wokół Melchiora i von Späta. W ogólnym zamęcie dał się słyszeć cienki i ostry głos pana Hansa Silberharniska, suchego, liberalnego kaznodziei z kościoła Najświętszej Maryi Panny.

– Ale nie zapominajmy o obiecany nam cudzie. Niech pan nas przekona – ciągnął wybałuszając swe łagodne rybie oczy – panie... jak właściwie brzmi godność pańska? A, słusznie, już sobie przypomniałem, dzięki Bogu... Niech więc pan nas przekona, drogi panie von Spät, o wszystkim, o czym nam pan opowiadał. Niech pan nas przekona, a my chętnie przyznamy się do pochopności naszego sądu. Ale proszę nie zapominać, że nie żyjemy w średniowieczu! My, dzisiejsi oświeceni, wolni ludzie wierzymy tylko w fakty. W fakty, panie von Spät, w fakty.

– W fakty! – ryknął cały chór, którego nadzieja na zobaczenie czegoś sensacyjnego podniecała coraz bardziej.

– Fakty – do rozmowy wmieszał się także Karl Schulze, profesor gimnazjalny z nastroszonymi blond włosami. I potrząsając groźnie pięścią, powtórzył: – Fakty – po czym uderzył się w usztywniony gors koszuli, aż zahuczało. – Jedyne one nas przekonują. Jest więcej rzeczy na niebie i na ziemi, i tak dalej. Ale muszą to być fakty. Bo w przeciwnym razie w nic nie uwie-

rzymy. Wielkie czasy, w których żyjemy, nauczyły nas, drogi panie, wierzyć tylko w jedno: w pewne, uchwytnie fakty.

– Brawo! – krzyknęli triumfująco zebrani.

Trümpelsteg nie mógł już zapanować nad sobą. Purpurowy z przejęcia, przekonany o słuszności swoich poglądów, wskoczył na stół, wyciągnął swe małpie ramiona i zawołał na cały głos:

– A sztuka, moi państwo? Zapomnieć o sztuce! Sztuka nie ma nic wspólnego z faktami. Sztuka, moi państwo, daje nam coś, czego odmawia życie: prawdziwą miłość, wszechmocną namiętność, do której w rzeczywistości nie jesteśmy zdolni. Już stary mistrz Goethe powiedział: „W barwnym odbłasku dane jest nam życie”. A taki boski Platon... I w ogóle... Na przykład kobiety z jakiegoś renesansowego obrazu: to nie fakty, to ideały, sam smak. Niech żyje ideał! Albo duety miłosne z oper, kiedy na dźwięk skrzypiec dreszcz przebiega nam po plecach... Tak dziko nie potrafimy kochać, tego nikt z nas nie wytrzyma... A i to nie są fakty; to ideały. W rzeczywistości, moi państwo, nasza miłość to nie uczucie, lecz zwykłe świństwo, jeśli pozwolicie mi na szczerłość. A w sztuce miłość staje się wzniosłym i uduchowionym świętem. Tam czujemy głębię, wieczność, żarliwe objawienie, cały światopogląd. Toteż, moi państwo, kiedy teraz nasz czcigodny czarodziej, pan von Spät, by tak rzec, wzniesie nas przez swą sztukę ponad fakty i rzeczywistość, to powinniśmy być mu za wdzięczni. I strzeżmy się brać piękny pozor za konkrety. Gdybyśmy sobie wyobrazili, że te rzeczy to realne zjawiska, to cały nasz świat zawałiłby się w mgnieniu oka, to nie wiedzielibyśmy już, co ze sobą począć, to nasz drogi Melchior miałby słuszność. Nie, drodzy państwo, pozwólcie, że powtórzę, brońmy się przed faktami. Nie ulegajmy im. Trwajmy przy duchu, który jest nieszkodliwy. Bądźmy rycerzami ducha!

– Bądźmy rycerzami ducha! – podjęli jego okrzyk inni.

Zofia z otwartymi oczami stała niemo w rogu salonu. Jej usta drżały, a twarz wyrażała lubieżność i mściwość. Teraz uderzyła się w nagie uda i z bulgoczącym śmiechem przyłączyła się do ogólnej radości.

Melchior i pan von Spät patrzyli na siebie z uśmiechem. Melchiorowi wydawało się, że całą scenę przysłania cienka zasłona. Krzyki nie były już tak bardzo przeraźliwe, obrzydliwe łamańce ciała, wykrzywione twarze, spocone kończyny – wszystko to jakby oddaliło się gdzieś i stało czymś zupełnie obcym. Jedyne w panu von Späcie czuł kogoś bliskiego, z kim związany był najgłębiej.